NASZ PRZYJACIEL

Dodatek do „Głosu Wąbrzeskiego“.

Nr. 43 | Wąbrzeźno, sobota 24 października 1925. | Rok 2.

Ewangelja

św. Mateusza rozdział 18, wiersz 23—35.

Onego czasu powiedział Jezus uczniom Swoim tę przypowieść: Podobne jest Królestwo niebieskie człowiekowi królowi, który chciał kłaść liczbę z sługami swoimi. A gdy począł liczbę kłaść, przywiedziono mu jednego, co był winien dziesięć tysięcy talentów. A gdy on nie miał skąd oddać, kazał go pan jego zaprzedać i żonę jego i dzieci i wszystko co miał i zapłacić. A upadłszy sługa on, procił go, mówiąc: Miej cierpliwość nademną, a wszystko tobie oddam. A pan zlitowawszy się nad onym sługą, wypuścił go i dług mu odpuścił. Lecz sługa on wyszedłszy, nalazł jednego z tych, co z nim służyli, który mu był winien sto groszy i pojmawszy go, dusił go, mówiąc: Oddaj coś winien. A upadłszy on towarzysz, prosił go mówiąc: Miej cierpliwość nademną, a oddam ci wszystko; a on nie chciał, ale wszedłszy, wrzucił go do więzienia, ażby oddał dług. A ujrzawszy towarzysze jego co się działo, zasmucili się bardzo i szedłszy, oznajmili panu swemu wszystko, co się stało. Tedy wezwawszy go pan jego rzekł mu: Sługo złośliwy, wszystek dług odpuściłem ci, żeś mię prosił. Czyli tedy i ty nie miałeś się zmiłować nad towarzyszem twoim, jakom się ja zmiłował nad tobą? I rozgniewawszy się pan jego, podał go katom, ażeby zapłacił wszystek dług. Takci i Ojciec Mój niebieski uczyni wam, jeśli nie odpuścicie każdy bratu swemu z serc waszych.

################################

Nauka z ewangelji.

Kim jest król, a kim sługa?

Królem jest Pan Bóg, a sługą człowiek.

Co oznaczają dziesięć tysięcy talentów?

Dziesięć tysięcy talentów, które w niemieckiej monecie mają wartości 45 miljonów marek, oznaczają ciężkie albo śmiertelne grzechy, których wina jest tak wielką i ciężką, iż nagrodzić ich, tj. zadośćuczynić nie jest zdolne żadne stworzenie; winy tej nie mogą zrównoważyć nawet wszystkie dobre uczynki Świętych Pańskich, gdyż każdy grzech śmiertelny obraża nieskończenie wielkiego, dobrego i świętego Boga, a tej obrazy nie może żadną miarą zadośćuczynić stworzenie tak samo, jak nie może biedny sługa zapłacić długu, wynoszącego 45 miljonów marek. Mimo to Bóg jest tak litościwy i miłosierny, iż ze względu na zasługi Jezusa Chrystusa odpuszcza łaskawie grzesznikom tę całą nieskończoną winę, jeżeli Go tylko prosi z skruszonem sercem o przebaczenie i szczerze pragnie się poprawić.

Co rozumieć należy przez sto groszy?

Przez sto groszy wynoszących na pieniądze niemieckie około trzydzieści marek, rozumieć należy obrazę, którą nam inni wyrządzają, a która w porównaniu do grzechów, jakich się dopuszczamy względem Boga mało co znaczy.

Któż są ci, co swych dłużników cisną?

Są to ci, którzy swym nieprzyjaciołom i krzywdzicielom nietylko nie przebaczają, ale nawet szkodzą im z zemsty.

Któż są ci co człowieka twardego serca u Boga oskarżają?

Są to święci aniołowie — stróże i własne sumienie, sam uczynek niemiłosierny woła o pomstę do nieba.

Co znaczy z serca przebaczać?

Znaczy: wygnać ze serca swego nienawiść, gniew i zemstę natomiast nietylko żywić w sercu prawdziwą i szczerą miłość dla obrazicieli i nieprzyjaciół, ale nawet okazywać ją zewnętrznymi znakami i usługami przyjaznemi. Dlatego nie odpuścili z całego serca ci, co sądzą i mówią, że nie gniewają się na nieprzyjaciół swych, ale unikają ich, nie pozdrawiają, nie dziękują, nie modlą się za nich, nie rozmawiają i nie przychodzą im w biedzie z pomocą, chociażby mogli, przeciwnie, cieszą się z ich nieszczęścia.

□□□□□□□□□□□□□□□□□□□□□□□□□□□□□□□

Dwie piorunujące odpowiedzi z Nieba.

W 1848 r. niedaleko Tuluzy we Francji pewien bezbożnik, rzecznik ludu, przemawiając na wyborach do Zgromadzenia narodowego, barwną grą słów usiłował zwalczać w wyborach poszanowanie dla religji, która stawi zawsze groźną tamę zamiarom złych ludzi. Na wszystko napadał, przeczył wszystkiemu, nawet istności Boga. „Niechże się odezwie jeżeli mnie słyszy! . .

Nie dokończył, gdy straszne uderzenie piorunu zatrzęsło okolicą, a bezczelny bluźnierca rażony spadł z mównicy nieprzytomny, w oczach przerażonego tłumu. Myślano, że życie skończył, lecz po dwóch godzinach odzyskał czucie; wątpię jednak czy zażądał kiedykolwiek nowych od Opatrzności Boskiej dowodów.

Inny nędznik, stokroć winniejszy, doraźnie ukarany został w 1849 r. w miasteczku sąsiadującem z Caen. Działo się to w niedzielę podczas mszy św. W handelku z gorącymi napojami tuż przy kościele dwóch przyjaciół piło wino. Na odgłos dzwonów kościelnych jednego z nich szał gniewu ogarnął. Zaczął bluźnić przeciw Bogu, Kościołowi, wymyślać na księży, a w napadzie rozuzdanej wściekłości, wobec właściciela handelku i towarzysza, który daremnie usiłował go uspokoić, chwycił szklanicę i krzyknął na cały głos: „Co tam Bóg: Niechże spróbuje przeszkodzić mi wypić tę szklankę wina!“ W tejże chwili runął na ziemię, tknięty apopleksją.

Dałoby się wymienić niezliczone mnóstwo wypadków tego rodzaju, świadczących o wymierzaniu sprawiedliwości Bożej, jeszcze tu na ziemi. Są to tylko pojedyńcze przykłady kary, niby zadatek orzeczeń Sądu, ktory nas czeka w przyszłości.

To ja córkę moją zabiłem!

Dzierżawca folwarku w Notre Dame de Charzais (Vandea) kazał w niedzielę młócić zboże. Podług jego obrachunku podwoić to miało jego dochody.

— „O jeden dzień robotę przyspieszę i w koszcie będzie ulga, myślał sobie, gdyż w okolicy święcono powszechnie niedzielę. Ale wkrótce dzierżawca ów poznać miał jak fałszywe są obliczenia ludzkie, jeżeli się przykazań Bożych nie zachowuje.

Na ostrzeżeniach mu nie zbywało, żona mówiła: „Nie pracuj w niedzielę, jeszcze jakie nieszczęście nas spotka!“ Co tam odpowiedział, pracowałem kilkakrotnie i nic mi się nie stało.“

W zaślepieniu swojem zapomniał o niedawnej śmierci swego jedynaka.

Rządy Opatrzności pojmują jedynie serca prawe nie zaś zatwardziałe; ludzie starają się nie zważać na nią, o ile winowajca natychmiastowej nie otrzyma kary. Młócono przez pół godziny, aż tu piętnastoletnia córka dzierżawcy podająca snopy, upadła nagle, nogę jej pochwyciło koło trybowe młocarni, wydała krzyk straszny i zmiażdżoną została momentalnie. Gdy wyciągnięto nieszczęsną ofiarę, jej wygląd był nie do opisania. Stary lekarz, pospiesznie wezwany, opowiadał: „Nigdy, przenigdy podobnie strasznego widoku nie miałem!“ Nie będziemy się silić na odmalowanie rozpaczy nieszczęsnych rodziców. Matka z bólu szalała, ojciec wołał z rozpaczą: „To ja córkę moją zabiłem, przyobiecałem nie pracować w niedzielę, Bóg mnie skarał!“

Świadkowie tego okropnego wydarzenia widzieli w tem jawną karę niebios. Jeden z nich rzekł: Żeby mi kto złote góry obiecał, nie pracowałbym w niedzielę!

Tegoż roku w Mantagne Saint Georges (Żyronda) małżonkowie Michaud, pogardzający wypoczynkiem świątecznym, cały dzień niedzielny spędzili na winobraniu. Wieczorem dziewięcioletni ich wnuczek zeszedł do piwnicy i pochylił się nad olbrzymią kadzią, chcąc winogrona zamieszac i tamże pozostał, zatruty gazami. Dziadka i babkę, którzy przybyli ratować wnuczka, ten sam los spotkał Ludność miejscowa zatrwożyła się wielce; gdyż zrozumiała przestrogę daną jej przez Boga!

Piosenka z dawnych lat.

Hej Mazury, hejże ha!
Póki wiosna życia trwa;
Póki serce żywo bije,
Póki szczęścia człek użyje;
Więc parobki dalej w hopki,
Gdy muzyka gra!

Już nam szumny zagrzmiał bas,
Dalej bracia, dalej wraz,
Albośmy nie w chłopa chłop:
Bracia, w podkóweczki, hop!

Dalej, dalej, dalej, dalej,
Patrzcie jak się Mazur wali!
Bo Mazury krzeszą z góry,
Aż patrzeć nie żal!

Dajmy sobie bratnią dłoń,
Niech znój ciężki rosi skroń!
My za ręce się trzymajmy,
I w podkówki wybijajmy:
A więc chwacko, dziarsko, gracko,
Stal, o stalkę dzwoń!

Niech znój nie odstrasza nas;
Nuże z góry, nuże wraz!
Choćby miała pęknąć stal;
W podkóweczkę z góry wal.

Dalej, dalej, dalej, dalej,
Patrzcie jak się Mazur wali,
Bo Mazury krzeszą z góry,
Aż patrzeć nie żal!

To mi ziemia, to mi kraj!
W to mi Maćku, w to mi graj!
Są w nim chłopcy, chleb i kasza,
Więc żyzna jest Polska nasza,
Więc wesoło, dalej w koło,
Nasza ziemia raj.

Miło nam w tym kraju żyć,
Miło w podkóweczki bić.
A ktoby chciał przerwać pląs;
Golą brodę i rwą wąs!

Dalej, dalej, dalej, dalej,
Patrzcie jak się Mazur wali;
Bo Mazury krzeszą z góry,
Okropny ich wąs!

Wiara i wiedza.

Uczony Franciszek Roger Bacon (1214 — 1294) przewidział i przepowiedział większą część wynalazków nowoczesnych. Oto jego opis przyszłych aeroplanów w siedemset lat przed ich

(Ciąg dalszy na 4-tej stronie.)

Na dnie Wisły.

POWIEŚĆ
Z PIERWSZEJ POŁOWY XIX STULECIA

5)

„Choroba moja trwała kilka miesięcy — czytał pan Mateusz — leżałem na barłogu w jakiejś gospodzie nad Bugiem, gdyż tam mnie owi moi prześladowcy porzucili, przekonawszy się, że dalej towarzyszyć im nie mogę, bo ze mnie dusza uciekła. Dokument z opisem gdzie skarb leży, miałem za podszewką nędznego kożucha chłopskiego, w którym chodziłem. I w samej rzeczy źle było ze mną. Lada chwila myślałem, że ostatnie tchnienie oddam Bogu. Wleczony przez zbrojną bandę i dręczony ciągłemi zapytaniami, gdzie skarb rzuciłem do Wisły, zazdrościłem doli mego ukochanego towarzysza, Jana Hogarta, który poległ, wstrzymując rabusiów wystrzałami pistoletowymi, ażebym ja miał czas rzucić skarb na dno Wisły.

„Dzielny, drogi towarzyszu broni, któryś widział zwycięstwa pod piramidami, Kairem, Samossierą, Austerlitz, Jeną.... poległeś na zasłanem śnieżnym kobiercem wybrzeżu Wisły, wierny wielkiemu wodzowi i obowiązkowi!

„Widziałem jego ciało przeszyte kulami, lecz nie dozwolono mi było pochować go. Może dokonał tego Robert, którego w śmiertelnej gorączce pogrążonego zostawiłem w owej karczmie żydowskiej. Wspomnienie tych chwil napełniło mi serce rozpaczą. A jednak nie zdradziłem miejsca, gdzie skarb został rzucony. Wisła go zachowa, ustrzeże, nie wyda. On winien dostać się do rąk wielkiego cesarza, który świat cały zwycięży.

„Nareszcie jakoś z choroby ciężkiej podniosłem się i dowlokłem się do Warszawy, chciwy nowin. Stary druh, któremu kula armatnia urwała nogę pod Berezyną, wachmistrz Sowa przyjął mnie z otwartemi rękoma, gdym go przypadkowo spotkał na ulicy Bielańskiej.

„Przebyłem u niego trzy dni i doskonale wypocząłem, przyczem zasięgnąłem wiadomości, co się z cesarzem i księciem Józefem Poniatowskim dzieje E!... he!... he!... bili, bili po dawnemu Niemców i Prusaków.,. Tak, jak ongi pod Raszynem... Jakoż na trzeci dzień uściskaliśmy się z Sową i ruszyłem dalej. Przy pożegnaniu Sowa trącił kulą w drewnianą, przyprawioną nogę i rzekł wzruszonym głosem:

— Bóg prowadź!... Poszedłbym i ja z tobą, gdyby nie kalectwo... Chciałbym ci jeszcze nim oczy na wieki zawrę, zobaczyć małego kaprala... Ale już mi Bóg nie pozwoli.... zostanę tutaj i codziennie będę wspominał sławne chwile przeszłości..."

I znowu dalej szacowny dokument był nieczytelny, nieco zaś niżej czerniło się jeszcze kilkanaście ostatnich wierszy. Pan Mateusz skwapliwie zaczął je czytać.

„Choroba i wycieńczenie sił zmusiły mnie do powrotu; postanowiłem sposobniejszej czekać chwili, ażeby zawiadomić marszałka o skarbie, który należał do wielkiej armji. Źli ludzie tymczasem zaczęli rozpowiadać rzeczy niesłychane, że książę Józef Poniatowski utonął w rzece Elsterze, rzuciwszy się w jej nurty na bystrym rumaku, że cesarz po wielkich bojach odpłynął na wyspę daleką, zagniewany na tych, którzy go zdradzili. Wszystko to są brednie.... Książę Józef z pewnością już otrzymał od Roberta Savois wiadomości o skarbach, a cesarz z pewnością po dawnemu bije nieprzyjaciół. Nadaremnie pragnę podążyć za nimi, dawne blizny zaogniły się, niewyjęta kula pistoletowa w nodze strasznie mi dolega. Na nic nie przydałbym się w szeregu. Zresztą Robert, który odzyskał zdrowie, z pewnością uwiadomi o wszystkiem marszałka. Szkoda Jana Hogarta! zabity na wybrzeżu Wisły, nawet nie wiem, gdzie został pochowany... A tak pragnął powrócić do swej ojczyzny, Anglji. Lecz spełnił swój obowiązek... inaczej być nie mogło. Czy tylko Robert szczęśliwie dostał się do Francji... Codziennie ze wzgórza zamkowego wyglądać będę na niego. Poznam go z daleka... Przybywaj, przybywaj, towarzyszu drogi..."

Na tym wykrzykniku kończył się stary dokument.

Pan Mateusz zwolna podniósł się z za stołu, zdjął okulary i nie rzekłszy ani słowa, zaczął chodzić po kokoju wszerz i wzdłuż. Widocznie był wielce wzruszony.

— Chodźmy do naszego pokoju, Jadziu — rzekła klucznica.

— Chodźmy! — zgodziła się dziewczynka.

Wkrótce wyszli, nie chcąc mącić zadumy starca, który długo w noc przechadzał się, zgasiwszy światło.

II.

Pan Roch, organista z Motowidła, wioski tuż nad Wisłą leżącej, miał się za najodważniejszego człowieka w świecie, choć w gruncie rzeczy odwaga jego nie wiele była warta. Łysy Roch, jak go zwano w ogóle, miał kłaść się właśnie do snu, odmawiając ostatnie słowa Modlitwy Pańskiej, gdy nagle do chałupy jego, stojącej na uboczu, przy starem cmentarzysku, ktoś silnie raz i drugi zastukał.

— Wiatr chyba! — szepnął Roch, albowiem jak czterdzieści lat tutaj przemieszkiwał, nikt o tej porze do niego nie zaglądał, a była właśnie północ.

— Wiatr chyba — powtórzył — i zaczął spiesznie z siebie zdejmować surdut wypłowiały przyczem świecę łojową zadmuchnął.

Głośne pukanie do drzwi nie pozwalało już dłużej szanownemu Rochowi mniemać, że to wiatr; najwyraźniej ktoś się dobi ał do drzwi i to nader niecierpliwie.

— Udam, że wyjechałem, że mnie nie ma — pomyślał sprytny człowiek i nie rozbierając się, położył się na łóżko i przykrył się kołdrą.

Cisza zapanowała na chwilę, wnet jednak rozległo się nowe szturmowanie do drzwi.

— Chyba jegomość proboszcz czego żądał — pomyślał pan Roch i ostrożnie wstał z łóżka, ażeby zbudzić swego chłopca, ucznia i służącego zarazem.

— Gaweł, wstawaj-no — zawołał, ciągnąc za nogę tego obiecującego chłopaka, albowiem w niespełna roku nauczył się on sylabizowania i tabliczki mnożenia.

— A co to? już rano? zapytał tenże, prze-

cierając oczy.

Ktoś we drzwi wali, otwórz...

Chłopak chwilę milczał.

— No, otwórz! — powtórzył organista.

Ale nie doczekał się spełnienia swego rozkazu, gdyż nagle w oknie ukazała się długa jakaś postać w kraciastym paltocie i w szerokim słomianym kapeluszu.

Organista przeżegnał się i skoczył po kropidło z wodą święconą.

Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołał cofając się w ciemny kąt izby.

— A kto to? — zapytał nagle Gaweł, obiecujący uczeń pana Rocha.

— Podróżni — brzmiała odpowiedź, wypowiedziana w narzeczu cudzoziemskiem. — Dlaczego nie chcecie nam otworzyć?

W izbie zapanowało głębokie milczenie.

Gaweł i pan Roch nie wiedzieli co odpowiedzieć. Obydwom dusza, jak to mówią, siedziała na ramieniu.

— Może to zbójcy? — szepnęli prawie razem i o niczem już więcej nie myśleli, tylko o jaknajspieszniejszem wymknięciu się z izby. Jakoż ostrożnie przyczołgali się do drzwi, otwarli je, wyszli do sieni i po drabinie wdrapali się na strych, skąd przez mały otwór w pułapie dostali się na dach.

Księżyc świecił jasno, noc była widna, w dali szumiały fale Wisły.

— Gaweł! — szepnął pan Roch.

— Co takiego?

— Tam do izby chybaby wszedł zły duch.

— Ano, to niechby sobie wszedł kiedyśmy oba na dachu.

— Ba? — ale jak my stąd zejdziemy?

— Rano przyjdą ludzie...

— I naśmieją się z nas — dokończył pan Roch, któremu nagle zęby zaszczękały z niezwykłego wzruszenia.

— Dobrze — zaczął po chwili Gaweł — ależ któż wszedł do izby?...

— Ba!... to tajemnica... może zły duch... może zbójca... może...

Gdy pan Roch ostatnich słów domawiał, usłyszał hałas w sieni i lekkie czyjeś stąpanie.

— Gaweł, słyszysz?

— Słyszę ktoś włazi do sieni...

— Ba: ale kto?

— Już ja tam nie chcę na własne oczy się przekonać, jeno zmykam po dachu do komina gdzie stoi drabka i po niej uciekam co tchu na dół, a później w pole i na łąki...

— I mnie tak pozostawisz, pogański synu?

— Co was mam zostawić, jeżeli chcecie, to zmykajcie.

Rzekłszy to, Gaweł z zręcznością, którejby po jego niedźwiadkowej figurze spodziewać się nie było można, dostał się po dachu do komina, stamtąd po drabinie zszedł na dół i zniknął w ciemnościach nocy.

— Antychryst — nie chłopak! — zaklął organista i drżąc, trzymał się oburącz krokwi w obawie, aby go silniejszy podmuch wiatru nie zrzucił na ziemię, co z tak znacznej wysokości mogłoby zgubne mieć dlań następstwa. (C. d. n.

wprowadzeniem w życie: Kiedyś będzie można zbudować aparaty do latania w powietrzu. Człowiek siedzący w pośrodku będzie zdolen, obracając pewien mechanizm, wprowadzać w ruch skrzydła sztuczne, przez nie powietrze ujarzmiać i wzbijać się w górę, jak ptak.

Ten sam uczony mnich przepowiedział zaprowadzenie mostów wiszących, wynalazek prochu zużytkowanie pary i wiele innych odkryć które genjusz ludzki kilka dopiero wieków później począł wyzyskiwać.

Z trzynastego stulecia przenieśmy się do dwudziestego.

Ojciec Andrzej de Grandnaison, Jezuita misjonarz w prowincji Kiang — nan w Chinach, który niedawno temu zmarł, wynalazł anemometr, to jest instrument do mierzenia siły wiatru, funkcjonujący obecnie na szczycie wieży Eifel w Paryżu; dalej skonstruował aparat telegraficzny, umożliwiający wysyłanie większej liczby depesz odrazu.

Z tego przekonujemy się, że wiara bynajmniej nie przeszkadza człowiekowi uczonemu w zagłębianiu się w tajnikach przyrody, badaniu jej sił naturalnych i zużytkowaniu ich dla dobra ludzkości. Wobec niedorzecznego twierdzenia, że religja ogłupia człowieka, stwierdzić dobitnie można, że wiara i wiedza bynajmniej nie sprzeciwiają się wzajemnie, że człowiek im bardziej jest wierzący, tem też uczeńszym się staje. Mieliśmy i zawsze mieć będziemy między ludźmi głęboko wierzącymi światłych uczonych najrozmaitszych gałęzi nauki i wiedzy.

WESOŁY KĄCIK

Żydówka wpada do lekarza i woła:

— Panie dochtór, niech pan dochtór ratuje, bo mój Icek zwarjował.

— A po czem to pani poznaje?

— Ny, bo un jadł szynkę.

— I nic więcej?

— I tę służącą Kaśkę, co jest chrześcijanka, pocałował

— To jeszcze nie dowód, że zwarjował.

— Wi haist? nie dowód? A kiedy byłby dowód, że zwarjował?

Gdyby Kaśkę zjadł — a szynkę pocałował!

* * *

Sierżant: — Józiek, a ty gdzie idziesz?

Żołnierz: — Przynieść wody, panie sierżancie.

Sierżant: — W tych obszarpanych spodniach?

Żołnierz: — Nie panie: w kubełku...

* * *

Pan Dawid Procent jest agentem Towarzystwa ubezpieczeń od wypadków i w ten sposób werbuje nowego klijenta.

— Niech sze pan u mnie zabezpiecza od wypadku, bo to złoty interes. Niech pan sobie naprzykład złamie rękę, to pan zaraz dostaje pięć tysięcy, a złamie pan nogę, to zaraz pan dostaje dziesięć tysięcy, a złamie pan kark, ręce i nogi to pan jest panem całą gębą...